

W poszukiwaniu pamięci



Stefan Tompson, fot. arch. Stefana Tompsona

Ze **Stefanem Thompsonem** — dokumentalistą i popularyzatorem polskiej historii, współautorem (wraz z **Patrickiem Neyem**) filmu „**Covenant of Blood: The Last Soldiers of World War II**” — rozmawia **Joanna Sokołowska-Gwizdka**.

*

Rodzinne korzenie

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Urodziłeś się w Londynie, masz polskie i brytyjskie korzenie, a historia rodziny prowadzi także do Republiki Południowej Afryki. Jak wyglądało twoje wychowanie?

Stefan Thompson: Mój ojciec jest Brytyjczykiem z Południowej Afryki. Jego rodzina mieszka tam od początku XIX wieku. Wyjechał z RPA w latach osiemdziesiątych XX w. Ze strony mamy jestem Polakiem. Ona również urodziła się na Zachodzie. Wychowywaliśmy się w kilku kulturach: z mamą rozmawialiśmy po polsku, z ojcem po angielsku, a chodziliśmy do francuskich szkół.

Mówisz po polsku bez wyraźnego obcego akcentu. Komu to zawdzięczasz?

Mamie. Włożyła w to ogromną ilość wysiłku. Język polski był językiem naszego domu, chodziliśmy też do polskich szkół

sobotnich. Przed 2004 rokiem były one przede wszystkim miejscem spotkań dzieci emigracji wojennej i solidarnościowej. To były środowiska mocno związane z Polską i antykomunistyczne. Późniejsza emigracja bardzo zmieniła tę społeczność.

Dlaczego polska część twojej rodziny znalazła się na emigracji?

Stefan Tompson: Nie był to wyjazd zarobkowy. W rodzinie byli polscy dyplomaci, a wojna i późniejszy komunizm sprawiły, że nie mogli wrócić. Moja babcia w chwili wybuchu wojny przebywała w rodzinnym majątku pod Lwowem. W 1940 roku była już w Londynie. Dziadek był dyplomata w Brazylii, potem również trafił do Wielkiej Brytanii.

Czy zachowała się w rodzinie opowieść, która szczególnie dobrze oddaje doświadczenie tej emigracji?

Jest taka historia o babci. Po wojnie dziadek kupił jej nasiona kwiatów. Babcia, która wychowała się w majątku z rozległymi polaciami ziemi, powiedziała wtedy, że nigdy nie przypuszczała, iż zabraknie jej ziemi do doniczki, żeby posadzić kwiaty.

Dla mnie ta opowieść bardzo dobrze oddaje los ludzi, którzy dorastali w dobrobycie, a później znaleźli się na emigracji niemal

bez niczego. W Londynie odtwarzali swój świat: powstawały polskie instytucje, kluby, szkoły i parafie. Działały Ognisko Polskie i POSK. Istniał cały ekosystem rodzin, które się znały i podtrzymywały więź z krajem.

Co z tego świata pozostało w twoim pokoleniu?

Bardzo wiele się zmieniło. Boli mnie przede wszystkim utrata języka i więzi z Polską w kolejnych pokoleniach. Wśród ludzi, których znam, niewiele jest rodzin takich jak nasza, w których osoby urodzone na Zachodzie nadal swobodnie mówią po polsku. Tym bardziej doceniam wysiłek mamy.

Patrzę też na późniejszą emigrację. Polacy są bardzo pracowici i przedsiębiorczy. Widziałem ludzi wykształconych, którzy po przyjeździe do Wielkiej Brytanii podejmowali pracę znacznie poniżej kwalifikacji. Żadna praca nie hańbi, ale trudno mi było patrzeć na niewykorzystany potencjał tych osób. Wielu z nich z czasem się dorobiło i weszło do brytyjskiej klasy średniej. Z perspektywy Polski pozostaje jednak pytanie, ilu z nich wróci i jaką więź z krajem zachowają ich dzieci.



Jakub Nowakowski, pseudonim „Tomek” i Daniela Ogińska, pseudonim „Pszczoła”, fot. arch. Stefana Tompsona
Powrót do kraju przodków

Kiedy i dlaczego zdecydowałeś się zamieszkać w Polsce?

W 2015 roku. Miałem wtedy 22 lata. Jak już mówiłem, moja rodzina nie znalazła się w Wielkiej Brytanii z wyboru. Po wojnie chcieli wrócić i budować Polskę, ale nie było to możliwe. Uznałem, że skoro dziś istnieje wolne państwo, mogę w nim żyć, pracować, płacić podatki i tworzyć firmy. Chciałem również założyć rodzinę i wychować dzieci w Polsce.

Nadal spędzam dużo czasu w RPA i w innych krajach Afryki, gdzie mamy także klientów. Ale zależało mi na tym, żeby związać życie z Polską i uczestniczyć w jej rozwoju.

Mówisz „wróciłem”, chociaż urodziłeś się w Londynie.

Technicznie to nie jest powrót do miejsca urodzenia. W wymiarze pokoleniowym właśnie tak to jednak rozumiem: jako zakończenie wymuszonej rodzinnej tułaczki. Przyjechałem z bratem, później zamieszkała tu także moja siostra. Z naszej czwórki rodzeństwa troje jest dziś w Polsce. Rodzice również spędzają tutaj część roku.

Bardzo się cieszę z tej decyzji. Widzę, jak Polska się rozwija. Ważne było dla mnie także to, że zdążyłem poznać wielu kombatanatów, powstańców i uczestników antykomunistycznego podziemia. W latach 2015–2016 spędzałem z nimi dużo czasu.



Stefan Tompson z Józefem Bandzo, pseudonim „Jastrząb”, fot. arch. Stefana Tompsona

Historia rodzinna i film

Czy zainteresowanie komunizmem i ludźmi, którzy mu się przeciwstawiali, wynikało z rodzinnych doświadczeń?

Zdecydowanie tak. To przez komunizm naszej rodziny nie było w Polsce. Dwóch braci mojego dziadka zamordowano w Katyniu. Mój stosunek do tego systemu jest więc bardzo osobisty.

Widzę jego skutki w kilku wymiarach: w zamordowaniu ludzi i zniszczeniu elit, w utracie potencjału gospodarczego, ale też w zniszczeniu poczucia piękna. Patrzę na przedwojenną architekturę, na miasta i na to, co Polacy potrafili stworzyć mimo zaborów. Potem widzę szarość i ujednolicenie narzucone przez komunizm. Dla mnie te rany są nadal widoczne, nie tylko w Polsce, lecz także w innych krajach Europy Środkowo-Wschodniej.

Czy z potrzeby opowiedzenia o doświadczeniu komunizmu wyrósł film o powojennym podziemiu „Covenant of Blood: The Last Soldiers of World War 2”, który wyreżyserowaliście wspólnie z Patrickiem Neyem, Brytyjczykiem zafascynowanym polską historią?

Tak, ale równie ważne było oddanie hołdu ludziom, którzy

rzeczywiście z tą ideologią walczyli. Wcześniej zrobiłem film „Oni budowali nasze szczęście” o przedsiębiorcach działających w czasach PRL, między innymi o badylarzach. Był to hołd dla bohaterów drobnej przedsiębiorczości, którzy próbowali działać mimo systemu.

Przy filmie o żołnierzach niezłomnych miałem poczucie, że to ostatni moment, żeby dotrzeć do żyjących świadków. Zależało mi również na opowiedzeniu tej historii po angielsku. Chciałem, żeby o ich poświęceniu i odwadze dowiedzieli się ludzie, do których polskojęzyczne materiały nie docierają.



Stefan Tompson z Marią Mirecką-Loryś, fot. arch. Stefana Tompsona

Mówisz o długu wobec tych ludzi. Na czym on polega?

To przede wszystkim dług moralny. Byli ludzie, którzy nie tylko odmówili udziału w systemie, ale zdecydowali się z nim walczyć, ryzykując wszystko. Myślę o Hieronimie Dekutowskim, Łukaszu Cieplińskim, Auguście Emilu Fieldorfie, Witoldzie Pileckim czy Zygmuncie Szendzielarzu i jego żołnierzach. Ich losy były różne, podobnie jak formy oporu, ale łączyła ich gotowość do poświęcenia.

Widzę w tym także ciągłość sprzeciwu, który później wyrażał się w protestach robotniczych, działalności opozycji i Solidarności. Tym filmem chciałem spłacić własny dług wobec żołnierzy niezłomnych.

Do kogo kierujecie film?

Do dwóch grup. Pierwszą są ludzie polskiego pochodzenia, którzy nie mówią już po polsku, ale interesują się swoimi korzeniami. Drugą są zagraniczni widzowie zainteresowani Polską i doświadczeniem komunizmu.

Na Zachodzie znana jest historia Solidarności i strajków w Stoczni Gdańskiej. Znacznie mniej osób wie o tych, którzy po wojnie podjęli zbrojny opór. Chcieliśmy pokazać również ten rozdział.



Patrick Ney, fot. mat. prasowe

Współpraca i osobiste spotkania

Jak poznałeś Patricka Neya i co was połączyło?

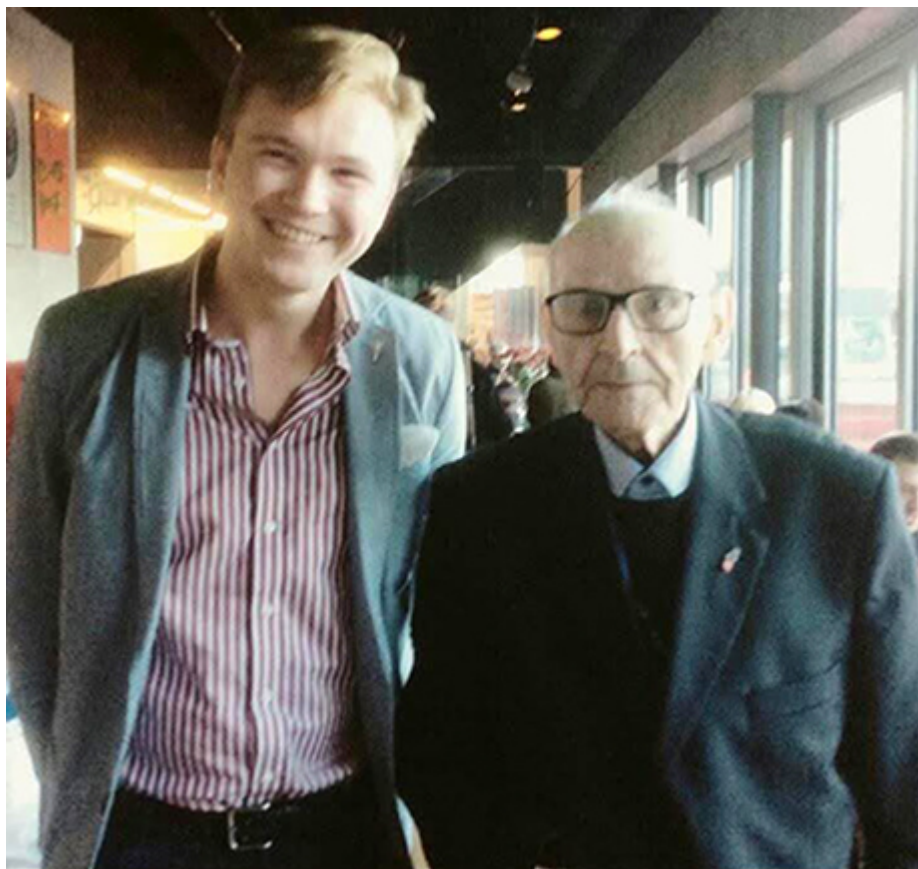
Poznaliśmy się przez Internet około dziesięciu lat temu. Obaj robiliśmy krótkie filmy i wywiady, opowiadając po angielsku o Polsce. Z czasem powstała bliska przyjaźń. Bardzo się lubimy i cenimy.

Patrick nie ma polskich korzeni. Związał się z Polką, zamieszkał najpierw we Wrocławiu, później w Warszawie. Założył tu rodzinę i dołączył do Wojsk Obrony Terytorialnej. Dla mnie jest przykładem człowieka, który nie tylko pokochał Polskę, ale stał się Polakiem. Dostrzegł w niej tradycję, wiarę i zdrowy rozsądek — rzeczy, które potrafią przyciągać także ludzi z zewnątrz.

Które ze spotkań z kombatantami szczególnie zapamiętałeś?

Przyjaźniłem się z Józefem Bandzo, ps. „Jastrząb”, żołnierzem Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. Spędził szesnaście lat w komunistycznych więzieniach. Rozmawiałem z nim przy jednym z moich pierwszych, jeszcze bardzo amatorskich filmów — „W poszukiwaniu ojczyzny”. Miałem wtedy 22 lata.

Pytałem kombatantów, jacy są Polacy. Bandzo odpowiedział: „Polacy są dobrzy. Polacy to jest dobry naród”. Często wracam do tego zdania. Myślę o dobru, prawdzie i pięknie jako wartościach, które są ze sobą związane. Ta prosta odpowiedź bardzo mocno we mnie została.



Stefan Tompson z Józefem Bandzo, pseudonim „Jastrząb”, fot. arch. Stefana Tompsona

A czyja historia porusza cię dziś najbardziej?

Odkąd mam córkę, inaczej patrzę na historię Inki (*Danuty Siedzikówny, sanitariuszki Armii Krajowej, w 1946 roku skazanej na śmierć w ramach komunistycznego aparatu represji — przyp. red.*). Znałem ją wcześniej, ale ojcostwo zmieniło mój sposób jej przeżywania. Myślę o siedemnastoletniej dziewczynie i o słowach skierowanych do babci: „zachowałam się jak trzeba”. To zdanie bardzo mnie wzrusza.

Chciałbym wychować córkę w taki sposób, żeby miała podobny kręgosłup moralny. Dla mnie historia Inki uosabia zdrowy polski

patriotyzm: świadomość, że są wartości, których nie można się wyrzec pod presją. Myślę też o jej rodzinie, która tak wiele straciła, i o babci, do której kierowała te słowa.

Co łączy według ciebie bohaterów tych opowieściach?

Niesamowita odwaga. Porusza mnie postawa ludzi, którzy mieli świadomość ogromnej przewagi przeciwnika, a mimo to podejmowali walkę. Myślę choćby o Zdzisławie Badosze „Żelaznym”, o zdjęciach tego młodego, uśmiechniętego człowieka. Myślę też o tragicznych losach Józefa Kurasia „Ognia” i o wspomnieniach jego żołnierzy.

Najbardziej wzrusza mnie gotowość oddania wszystkiego, łącznie z własnym życiem. To czułem, kiedy nagrywałem rozmowy z kombatantami, i to nadal we mnie pozostaje.